

Michał M. Kosman:

Peter Bender:
*Ameryka. Nowy Rzym*¹

Ostatnie kilkanaście lat politycznych dziejów świata niezbitie potwierdzają uznane w nauce o stosunkach międzynarodowych spostrzeżenie o ich ogromnej dynamice. Pozorny stan pojałtańskiej stabilności zachwiany został z początkiem lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, przynosząc ze sobą kres istnienia jednego z supermocarstw. Rozpad ZSRR oznaczał nie tylko podział wielonarodowego imperium, ale również dekompozycję powojennego bipolarnego układu sił na naszym globie. Na polu zmagania zostało się jedno supermocarstwo. Ten stan rzeczy musiał zrodzić pytania o przyszły kształt międzynarodowego ładu politycznego. Na czele zestawu hipotez umieszczano zwykle tę z nich, która zdawała się być najbardziej naturalnym scenariuszem po 1991 r. – model zakładający hegemonię USA. I choć znalazł on nie tylko zwolenników, ale i licznych krytyków, to wielopłaszczyznowa przewaga Stanów Zjednoczonych nad potencjalnymi konkurentami byłaby trudna do zakwestionowania. Nawet jeśli uznamy,

że nie można jej określić mianem hegemonii (takiej, jaką sprawował starożytny Rzym), to obecna pozycja USA wśród innych aktorów stosunków międzynarodowych jest czymś więcej niż *primus inter pares*.

Pojawiające się w ostatnich latach porównania Stanów Zjednoczonych ze starożytnym Rzymem (szczególnie popularne wśród amerykańskich neokonserwatystów) zapewne skłoniły Petera Bendera, znakomitego niemieckiego historyka i publicystę, do dokonania analizy komparatystycznej obu imperiów. Polska edycja nosi również podtytuł *Historia równoległa dwóch imperiów*. Nie jest to jednak opis ich dziejów w tradycyjnym rozumieniu tego pojęcia. W głównym toku rozważań próżno szukać szczegółowego zestawienia kolejnych faktów, osób, etc. (nie licząc kalendarium umieszczonego na końcu). Książka – zgodnie z zapowiedzią autora – nie ma ambicji prognostycznych. P. Bender skoncentrował się raczej na dociekaniu źródeł potęgi Rzymu i Ameryki oraz wskaza-

¹ P. B e n d e r: *Ameryka. Nowy Rzym*. „Sic!”. Warszawa 2004, ss. 264.

niu kluczowych etapów na ich drodze ku mocarstwowości. Wyeksponował zarówno podobieństwa, jak i różnice pomiędzy obydwoima imperiami, przedzielonymi dystansem przestrzeni i czasu.

Książka została podzielona na sześć rozdziałów, zgodnie z kryterium chronologicznym, w ramach których autor poszczególne podrozdziały (przeważnie przemiennie, niekiedy łącznie) poświęcił Ameryce i Rzymowi. W tym drugim przypadku P. Bender bynajmniej nie sięga aż do legendarnego Romulusa czy tym bardziej do zbiegłego z płonącego Ilionu protoplasty Rzymian – Eneasza, lecz początki właściwego nurtu swych dociekań lokuje w 279 r. p.n.e. Wtedy to Senat nadtybrzańskiego miasta, po długich wahaniach i dysputach, postanowił obrać twardy kurs wobec władcy Epiru – Pyrrusa, pomimo pojednawczych gestów z jego strony, co w obliczu klęsk zadanych przezeń rzymskim legionom wydawało się być grą niezwykle ryzykowną. Opłaciło się. Dwadzieścia jeden wieków później przed podobnym – choć może nie aż tak dramatycznym – dylematem stanęły Stany Zjednoczone, nad którymi – jak miecz Damoklesa – zawisła groźba interwencji mocarstw Starego Świata w Ameryce. Jednak Biały Dom, po chwilach rozterek, odrzucił rysującą się szansę na zacieśnienie związków z Wielką Brytanią, jawiących się wówczas jako gwarancja bezpieczeństwa dla Waszyngtonu, lecz jednocześnie groźba poważnego uwikłania się w konflikty europejskie.

Dalszą konsekwencją była już doktryna Monroe, stanowiąca w istocie preludium potęgi.

W obu tych wydarzeniach P. Bender upatruje początków budowy mocarstwowości Rzymu i Ameryki, które właściwie z zewnątrz już niemal nie niepokozone, mogły poświęcić gros uwagi na rozwój wewnętrzny i stopniową, choć – jak zauważa autor – wcale niezamierzoną budowę swych imperiów. Złożył się na to, w obu wypadkach, splot szczęśliwych okoliczności, spośród których jednak niemiecki badacz priorytet przyznaje jednej – „wyspiarskiemu” (oczywiście nie w dosłownym sensie) położeniu obu przyszłych potęg, skutecznie odizolowanych od najpoważniejszych potencjalnych nieprzyjaciół – Italia morzami i górami, zaś USA dwoma oceanami. Ich dalsze dzieje potwierdzają zatem istotne znaczenie czynnika geograficznego w historii stosunków międzynarodowych sprzed epoki rakiet balistycznych.

Dalsza lektura przybliży fascynującą ewolucję obu republik – od celów defensywnych ku coraz bardziej ofensywnemu pojmowaniu polityki zagranicznej; od przeciętnych graczy w swoich epokach – ku coraz bardziej znaczącym uczestnikom relacji międzynarodowych, choć początkowo jedynie umacniających wpływy na swoich „wyspach” (Rzym – w Italii, Stany Zjednoczone – krok po kroku rugując polityczną obecność Europy w Ameryce). P. Bender akcentuje jednak znaczącą różnicę w metodzie – Rzymianie czy-

nili to drogą podbojów, zaś forpocztą Waszyngtonu na kontynencie północnoamerykańskim byli osadnicy. W ślad za nimi z wolna kroczyło państwo i jego struktury, które jako priorytetowy środek swej ekspansji traktowało dolara (zakup Luizjany, Florydy, Alaski), po „colta” sięgając dopiero w obliczu nieskuteczności argumentów finansowych i dyplomatycznych. To, co łączy Rzymian i Amerykanów, to stopniowe dojrzewanie do opuszczenia wygodnych „wysp” i rozprzestrzeniania swych wpływów na zewnątrz.

W przekonaniu P. Bendera dla Rzymu istotnym przełomem na tej drodze była pierwsza wojna punicka. Starcie z Kartagimą, w którym bezpośrednią stawką była Sycylia, przyniosło w konsekwencji dominację Rzymu wobec oddających się pod jego protekcję kolejnych ośrodków władzy. Tym samym, stopniowo rodziły się niemożliwe wcześniej do przewidzenia zobowiązania. Rzymianie politycznie – choć zrazu niechętnie – opuszczali swoją „wyspę”, uzupełniając jednocześnie mocarstwowość lądową także o potęgę morską (do tej pory prymat na tym polu dzierżyła Kartagina). Tym, czym dla Rzymu była pierwsza wojna z Kartagimą, tym samym dla Stanów Zjednoczonych – w opinii autora – miała być (do pewnego stopnia) pierwsza wojna światowa. Pierwszy raz bowiem Amerykanie na tak wielką skalę zaangażowali się militarnie poza swoją „wyspą”. I choć po wojnie wycofali się na nią na dwie dekady, raz puszczona w ruch spirala zacieś-

niania więzi z Europą nie pozwoliła się zatrzymać.

Kolejne podobieństwa na imperialnej ścieżce Rzymu i Ameryki P. Bender odkrywa w drugiej wojnie punickiej i drugiej wojnie światowej. Oba mocarstwa zdawały się niechętnie podejmować rzuconą rękawicę, lecz uczyniły to, kierując się motywami szeroko rozumianych własnych interesów bezpieczeństwa. Autor uwidacznia jednak także istotne różnice: w znacznie gorszej sytuacji był bowiem Rzym, doznający licznych klęsk z ręki Hannibala na terytorium Italii, zaś Amerykanie, pomijając klęskę na Pearl Harbor, walczyli z dala od własnych ziem. Efekty jednak P. Bender ocenia podobnie: oba państwa stały się czołowymi potęgami w swoich epokach. O ile jednak w przypadku Rzymu teza taka jest raczej bezsporna, o tyle znacznym ograniczeniem mocarstwowości Stanów Zjednoczonych po 1945 r. było istnienie drugiego supermocarstwa i jego strefy wpływów. Autor sygnalizuje ten fakt, stwierdzając, iż „Ameryka stała w obliczu wroga, którego nie mogła pokonać”, przynajmniej militarnie, jednak zyskiwała przewagę cywilizacyjną i gospodarczą (dzięki której w istocie powaliła rywala u schyłku lat osiemdziesiątych).

Autor dokonuje w toku swych wywodów niezwykle wartościowego spostrzeżenia: wspólną cechą obu mocarstw było coraz głębsze ich uwikłanie w zobowiązania, których bynajmniej nie pragnęły zaciągać. (Czyżby kwestionowało to, tak silny

w amerykańskiej filozofii życiowej, woluntaryzm?) Jedne zobowiązania rodziły jednak kolejne. Rzym pozwolił przejmować polityczny patronat nad Grekami i stał się superarbitrem w tamtejszych sporach, a odpowiednio – Ameryka rozciągała parasol ochronny głównie nad Europą Zachodnią, ale i w innych regionach globu. Tak, jak do chwili wybuchu wojny koreańskiej Ameryka przeżywała wahania co do ewentualnej aktywności za oceanami (wystarczy wspomnieć choćby sprzeciw USA przeciwko klauzuli o obowiązkowej pomocy wojskowej w ramach NATO), tak po jej zakończeniu znikły wszelkie opory przed globalnym zaangażowaniem. Autor eksponuje ewolucję obu mocarstw „od polityki bezpieczeństwa do polityki mocarstwowej”. Podkreśla też podobne uzależnienie sojuszników od obu mocarstw, akcentując jednak fakt, iż Rzymianie w razie niesubordynacji przywoływali ich do porządku za pomocą miecza, w przeciwieństwie do Amerykanów, preferujących perswazję w stosunku do partnerów zachodnioeuropejskich (jednak zwróćmy uwagę, że gdzie indziej czasem ten miecz się pojawiał).

Kolejne podobieństwo, jakie zauważa P. Bender, leżeć miało w sferze propagandowej, której elementem było posługiwanie się argumentem krzewienia „wolności” (dla Greków i dla Europy Zachodniej) – co jednak trudno uznać za cechę właściwą wyłącznie Rzymianom i Amerykanom, a raczej za cechę uniwersalną wielu

mocarstw czy też pretendentów do mocarstwowości.

Przytoczenie wszystkich zaprezentowanych w pracy parareli pomiędzy obydwojma imperiami, których analiza potwierdza niezwykle przenikliwość badawczą niemieckiego historyka, nie mieściłoby się w ramach niniejszej recenzji.

Podsumowując ocenę książki, warto podkreślić pewną prawidłowość typową dla wszelkich mocarstw, potwierdzoną przez P. Bendera w odniesieniu do Rzymu i Ameryki. Jedno i drugie imperium wpadło w pułapkę niepomaganego zaangażowania zewnętrznego, koniecznego dla zachowania wiarygodności i prestiżu, nadwątlającego jednak coraz bardziej siły i stopniowo kurczącego w istocie realne możliwości. I jeszcze jedna, dostrzeżona przez niemieckiego badacza cecha rozwoju Imperium Romanum budzi głęboką refleksję: rosnące poczucie siły zachęcało Rzymian do porzucania rygorów (stopniowo traktowanych jako kajdany) samoo graniczenia i umiarkowania, z czasem nie zadowalało ich już pokonanie i unieszkodliwienie siły militarnej wroga, musieli jeszcze przykładowo ukarać. Najbardziej spektakularnym przejawem tej ewolucji była trzecia wojna punicka, wywołana przez Rzymian, zakończona barbarzyńskim i bezcelowym zrównaniem Kartaginy z ziemią. Ameryce, oczywiście, daleko do takiego traktowania wrogów – zaangażowanie w odbudowę Iraku po wojnie z 2003 r. świadczy o czymś przeciwnym. Niemniej jednak po 2002 r. Sta-

ny Zjednoczone – podobnie jak kiedyś Rzym – wyraźnie odeszły od filozofii zewnątrzpolitycznego samoograniczenia. Także w obu przypadkach można mówić o podjęciu przez mocarstwa wojen prewencyjnych – w momencie wybuchu wspomnianych konfliktów ani Kartagina nie stanowiła zagrożenia dla Rzymu, ani Irak dla USA.

Niemiecki uczyony ocenia, iż dzisiejsze Stany Zjednoczone stoją na etapie zbliżonym do Rzymu z czasów cesarza Oktawiana Augusta. Nie uchodzi jednak uwadze czytelnika spostrzeżenie, iż przewaga Ameryki nad sojusznikami nie dorównuje jednak dominacji Rzymu nad swoją klien-

telą polityczną. Podobnie jak i nad potencjalnymi kontrkandydatami do hegemonii – Chinami, Indiami, być może Rosją.

P. Bender, powołując się na Henry'ego Kissingera, przestrzega przed brakiem powściągliwości w realizacji imperialnych aspiracji USA, taki styl polityki oceniając jako największe zagrożenie dla wartości, na których fundamencie wyrosły Stany Zjednoczone. W opinii autora, Ameryka, mimo wszelkich podobieństw do Rzymu, nie może (o ile nawet byłaby w stanie) stworzyć takiego imperium, jak jej starożytny odpowiednik, jeżeli nie chce stać się zagrożeniem dla samej siebie.